

Wstępna szpalta

KONGRES DLA PRZYSZŁOŚCI

Dzisiaj rozpoczyna się III Kongres Nauki Polskiej. Weźmie w nim udział 1200 przedstawicieli wszystkich dziedzin nauki. Zważywszy, że poprzedni, II Kongres odbył się w roku 1973, można oczekiwać, iż naukowcy poddadzą krytycznej analizie miniony okres, ustosunkują się do niezadowolającego stanu nauki.

W wywiadzie, udzielonym „Życiu Literackiemu”, sekretarz Komitetu Organizacyjnego III KNP prof. Roman Ney stwierdził, iż przyczyną niepowodzeń i rozczarowań w latach siedemdziesiątych leżały także poza nauką. II Kongres wytyczył, w oparciu o centralny plan badań naukowych, wiele cennych przedsięwzięć, jednak w latach 1976-1980 nastąpiło odchodzenie od przyjętych uprzednio zasad. Kryzys ogólnospołeczny zaczął nakładać się na kryzys w nauce.

Kogo te błędy obciążają? — Przede wszystkim ówczesnych polityków — stwierdza prof. Ney — ale naukowców również. Politycy dla celów propagandowych stworzyli miazgę nauki, jako wodzącego czynnika przyspieszonego rozwoju społeczeństwa, a w istocie rzeczy z promocyjną nauki korzystać w bardzo ograniczonym stopniu. Naukowcy zbyt późno zorientowali się czym to grozi, a gdy już dostrzeżli to i inne niebezpieczeństwa nie potrafili w sposób dostatecznie silny i wyraźny przekazać politykom sygnałów ostrzegawczych. System myślenia ówczesnych decydentów zakładał iż nauka, idealnie skierowana w konkretnych kwestiach ma jedynie podbudowywać ich arbitralne koncepcje kierowania krajem i wizje tego rozwoju. Ekspertyza, której treść sła pod ręką była nie dostrzegana, a jej autor pomadał w nielaskę. Powiedziałem, że ostrzeżenia nie były dostatecznie mocno wyartykułowane, bo w ośrodku jednak były, przekazywano je decydentom, za na to dowody. Wtedy nie było słyszalne alarmu, mogło być natomiast o tyle niecelowe, iż znając mentalność ówczesnych czelownych polityków wydziało się, że można poważniejszym wzmocnienia na ich decyzje i tak się nie uda...

Taka była zatem, według prof. Neya, sytuacja polskiej nauki w drugiej połowie lat siedemdziesiątych. Częściowo z winy polityków, częściowo z braku dostatecznej siły nacisku ze strony naukowców, doszliśmy do tego, do czego doszliśmy. Mnie mam wszakże, iż III Kongres Nauki Polskiej nie stanie się jednym wielkim lamentem nad minionym czasem, bo jednak mimo wszystko nauka polska nie stała w miejscu, część dla postępu w technice i innych dziedzinach dokonała. Oczywiście, nie da się zaprzeczyć, że nastąpiło pewne opóźnienie wobec osiągnięć naukowych w świecie, ale przyczyną tego również nie obciążają samych naukowców. Jak bowiem można było oczekiwać bodźce do rywalizacji, kiedy np. środowisko naukowe dowiadywało się, że zdziwienie, jako o fakcie dokonanym, z gazet, że zakupiliśmy licencje m. in. w tych dziedzinach techniki, w których nauka polska ma znaczne osiągnięcia i to raczej my mogliśmy ekonomicznie nowatorskie rozwiązania. Wymowywało to dezorientację i kryzys psychiczny, który w placówkach naukowych rozprószył się, wywołując od krzyku ekonomicznego.

Podporządkowywanie sobie nauki, jako ilustratora własnych, nierzadko żądać, jako tych żądać „uzasadnienie”, nieważna w zdolności polskiej nauki powodowały więc skutki, jakie odczuwała będą jeszcze przez dłuższy czas. Aby ten czas do możliwego minimum skrócić, aby jak najszybciej odrobić przynajmniej część utraconego wobec świata dystansu, musi nastąpić widoczna zmiana w traktowaniu i właściwym umieszczeniu nauki. Na zakup licencji (nawet miernych) nie stać nas. Musimy zawrzeć umowę krańcową. Nie może to być jednak sam koszt, bez podjęcia o skutki materialne. Aparatura i literatura naukowa, zmiana niektórych struktur, zwiększenie udziału nauki w nakładach inwestycyjnych, to tylko niektóre wymogi na rzecz wzmocnienia i rozwoju nauki.

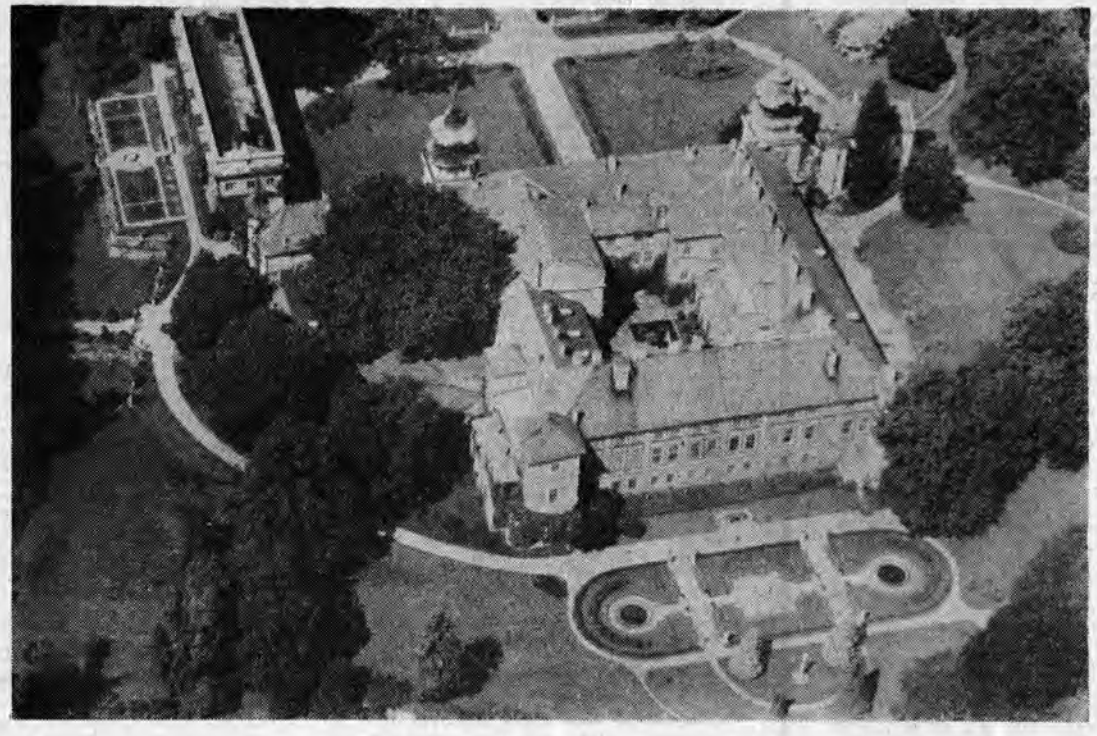
W III Kongresie Nauki Polskiej weźmie udział również przedstawiciele rzeszowskiego ośrodka akademickiego. Uważam, że zasadne, aby przedstawili oni na tym forum problemy takich młodych, a przede wszystkim krzennawych ośrodków, ich współodpowiedzialność i współdziałanie na rzecz regionu. Mówi się, nie uogólniając, iż „zakłady pracy i instytucje często bronią się przed postępowaniem technicznym i nowoczesnością proponowanymi im przez naukę metod pracy”. Nie wiem, jak się to przedstawia w naszym regionie. Przemysł (i nie tylko) wspomagał wydawnie polepszenie warunków pracy naukowców i dydaktyki rzeszowskich uczelni. Istnieje współpraca uczelni z zakładami przemysłowymi. Czy jest ona jednak wystarczająca wobec wzrastających wymogów reformy gospodarczej i konieczności nawiązania nowego spojrzenia już po roku 2000? Nie wyliczać po kolei rzeszowskich samodzielnych uczelni i filii uczelni pozarzeszowskich, można stwierdzić, że są one związane z przemianami w naszym regionie, że można im zawdziaczyć sporo w społeczno-gospodarczym rozwoju regionu. Rzecz teraz w tym, aby szukać nowych impulsów, nowych tematów badań, nowych rozwiązań we wszystkich podstawowych dziedzinach. Kongres Nauki nie może stać się tylko wymiana myśli na wysokim szczeblu. Powinno on stać się wykładnikiem działań dla przyszłości wobec wszystkich pracowników nauki, powinien też wskazać studentom drogę, jaką powinni obrać, aby zasilić naukę polską. Dziesięć studentów będą przecież w progu XXI wieku naukowcami, pracownikami różnych dziedzin przemysłu, instytucji, administracji. Od nich też, studentów rzeszowskich, zależy będzie dalszy rozwój ich macierzystych uczelni. Sadzę, że wszyscy z uwagą śledzić będą debaty obrady Kongresu, wyliczkując że to, co może sorywać intensywniejszym udziałowi rzeszowskiego ośrodka akademickiego w popchnięciu nauki polskiej na nowe tory.

ZBIGNIEW KREMPF

WIDNOKRĄG

5 (839)
5 MARCA 1986 R.
RZESZÓW

• KULTURA • NAUKA • OŚWIATA •



Przed kilku dniami zmarł ANDRZEJ ŁOKAJ, fotoreporter CAF, współpracownik „Nowin” i „Widnokręgu”. Oto jedno z jego znakomitych zdjęć z lotu ptaka, których całą serię publikowała prasa polska. Na zdjęciu: zamek w Łauce.

Tadeusz Kubas Wieczne kamienie

Bogowie żyją
cudem
ludzkiej wyobraźni

Wchodzą w pamięć
najdłuższą
łupanym kamieniem

Jeszcze puls tętni
młotem
lecz życie odmierz

A piramidy
dumne
patrz
na czas
z góry

Rzucacie we mnie
najwięcej kamieni

Ukamienujcie
w kształcie
ostrosłupa

WYPIĆ WISŁĘ, ALE ŁYŻKĄ

Z ANNA STARUCH — DYREKTORKĄ ZESPOŁU SZKÓŁ EKONOMICZNYCH W RZESZOWIE
POSEŁKĄ NA SEJM PRL — ROZMAWIA KRYSZYNA ŚWIERCZEWSKA

— Jak mam panią tytułować — pani dyrektor czy pani poseł — sama nie wiem? — A czy to ważne? — Przyswyczałimy się do tytułów. — Jakkolwiek zawód — dyrektor nie istnieje, jest to tytuł wynikający z zawodu, który wykonuję 30 lat; ten drugi wynika ze społecznego zaufania udzielonego mi na lat cztery. — Odpowiedział mi pani dyrektor! — Mam mówić o oświacie; jest to temat, który wręcz parzy swoją swawolnością i nie ma już mas medium, które by go nie podjęło i to w taki sposób, jakby przez 40 lat powojennych nie robiło się nic innego, tylko błędy. Czy nie ma pani uczucia, że każda wielka dyskusja nad oświatą zaczyna się jakby od zera? Ze dopiero my...? Ze dopiero od dziś? — Oczywiście, że mam! — Jak to wpływa na nauczycieli? — Depresyjność. Bo gdyby nawet i tak było, że błąd konił błąd i sam doprowadziliśmy do tego stanu oświaty — to przecież równoległe przez 40 lat nauczyciel tyrał jakby obok projektowanych zmian, tyrał równo, co rano wychodził z domu do młodzieży i od rano do nocy wypełniał swoje obowiązki dzień po dniu. Raz nazywano inżynierem dusz, raz — partaczem, nie umiającym sprostać zadaniu wychowania młodego Polaka. — Czyli opinia publiczna — sobie, a nauczyciel — sobie? — Można to i tak nazwać, jeśli by rzeczywiście to co robił — robił sobie. Ale czy robił sobie — czy swoim dzieciom? W Sejmie czuje się reprezentantką środowiska nauczycielskiego — zawodu, który co najmniej 80 procent ludzi mu zaprzędanym wykonuje z poświęceniem, a także z dobrym skutkiem. — Zatem pamflety na nauczycieli dotyczą 20 procent co najwyżej. Ile to jest dwadzieścia procent nauczycieli? — Około dwa tysiące. — Ilu uczniów uczy te dwa tysiące słych nauczycieli? — Około dwadzieścia tysięcy. — To jest dwadzieścia tysięcy pomylek, luk, przekłamań, które idą z młodym człowiekiem w dorosłe życie bez poprawki... — Tak i nie dąsą się spruć, jak się uszyta sukienka przez krawcową, ponieważ że zrowny idą kłębki w świadomość. — Czy można usunąć złego nauczyciela; rozsumy się wzajem dobrze; złego — to znaczy nie uczącego, choć często dobrego człowieka? Czy pani, jako były wicekurator, zna jakie wypadki, że usuwano nauczyciela za jakiegoś przestępstwo? — Nie znam. Za mojej szesnastoletniej kadencji taki wypadek nie zaistniał. Co więcej, powiem: mianowany nauczyciel jest nie usuwany i może odejść ze szkoły tylko na własną prośbę. — Nie istnieje żaden przepis, reguła, że jak się uszywa — to w odstawkę? — Istnieje Zły nauczyciel musi dostać dwukrotnie ocenę niedostateczną od swego dyrektora, ewentualnie od komisji, która ten może powołać.

— Dlaczego dwukrotnie? — Bo od pierwszej oceny niedostatecznej przysługuje mu odwołanie; w wyniku odwołania komisja egzaminuje go z materiału ocenionego uprzednio na niedostatecznie. Nie znam przypadku, by nauczyciel nie wyszedł na białe tego, co zawalił i na czym go przylapano, nie dostał dostatecznego bodźca i dwoma minusami przy poprawce. — A nadzór pedagogiczny? — Kto niby? Jedynym nadzorem, jaki działa, jest dyrektor szkoły. Czy pani sądzi, że dyrektor, sam matematyk na przykład, jest najlepszym kontrolerem w pracy polonisty, historyka, geografę czy fizyka naukę? — A metody? — Są doradcami nauczyciela, których nauczyciel może, ale nie musi słuchać. Nie mają prawa zostawiać dyrektorowi nawet zaleceń. — A więc dotknęliśmy problemu, podejmujemy jedynego, który nie wymaga pieniędzy, tylko reorganizacji w ramach resortu. — Naturalnie. Jakość pracy nauczyciela, jeśli nie będzie kontrolowana, zawsze pozostanie jaka jest. I jest to pierwsza sprawa, wymagająca szybkiej zmiany. Dziesięć lat pracowałam jako metodyk nauczania i dziesięć lat czułam bezskuteczność mojej pracy. Nowym ustawieniem przez resort zarządzenia o roli metodyki w procesie nauczania nadałoby się skuteczność ich pracy. — Inna to sprawa, czy będzie się to podobało nauczycielom, przynajmniej tej jednej piątce, którą pani oceniła negatywnie. — Zupełnie inna! Ale jednocześnie osiemdziesiąt procent ludzi dobrze wykonujących ten zawód, też zostałyby ocenione. Bo nie może dalej tak być, że jest magma nauczycieli, w której tona jedynki wybitne, dobre, dostateczne i nielkie. — Nie istnieje — tak to rozumiem — awans w tym zawodzie? — A jaki? Pobory mniej więcej jedynkowe, spłazzone. Ocenę nie ma. Jakże motywację zaproponować? Stale powtarzam: dać nadzieję i pokazać perspektywę ludziom pracującym w oświacie, nie tylko bić, choć bić tych, co trzeba. Krytyka oświaty, trwająca od paru lat, zeszła permanentnie co parę lat — bo próżno zauważyć, że dwa domy nie odgarniają śniegu i żli nauczyciele — jakos omija ten przepis resortu o nadzorcze pedagogicznym z 1982 roku, który jest zarządzeniem służącym do głaskania nauczyciela po głowie oraz do sprawdzania papierów. — Dotknęliśmy w ten sposób jednego zarządzenia, które trzeba zmienić. Bardzo ważne, ale cząstkowe, gdy się mówi o oświacie. Tymczasem odnozę wrażenie, że po raz pierwszy jakby zobaczono problemy oświaty w całości, w powiązaniach z potrzebami całego społeczeństwa. — Tak i to jest dopiero przyznanie oświacie należnego jej miejsca na tej ośmiolatek co najmniej czysty, kiedy analizowało się wszystko, ale nikt nie miał czasu pomyśleć, że nauka nowego człowieka idzie.

Co najmniej jeden rocznik skończył szkołę podstawową. — W międzyczasie odeszliśmy od projektu dziesięciolatki. — Bo nie był realny, bo nie mamy pieniędzy. — Ale już parę roczników eksperymentowało. Dzieci to nie krótki. Ile to reform przesyłamy? — Będziemy przeżywać jeszcze ileś tam, jeżeli szkoła ma nadać za życia i równać do nowoczesności. Nie wierzę, by pani redaktor myślała jak typowy Galicjanin, że dawniej dziadek, ojciec i syn uczyli się z jednego elementarza i było dobrze. Teraz nie mogłoby być dobrze, kiedy lawina specjalizacji co i raz przekręca jakiś fragment podręcznika. Przykład pani prosi? Służyć do dziś w mojej szkole uczniowie uczą się o radiodiodach lampowych, bo podręcznik nie wszedł na etap układów scalonych. Co to za wiedza, kiedy już nikt dziś nie produkuje lamp radiowych? Jak ona się ma do praktyki? Ale program przedmiotu elektronika pochodzi sprzed dwudziestu lat, i takich przykładów może dać dziesiątki. Informacja powiększa się, napiera, szkółka pozostaje w tyle. — A podręczników nie ma; w tym roku brakuje ich milion z hakiem, na ogólną liczbę 45 milionów. — W przyszłym roku ogólna liczba — to już będzie 55 milionów. — A w Zasadniczej Szkole Zawodowej u pani, przed trzema laty zaprogramowano zmiany w podręcznikach matematyki i jaki efekt? — Ze od trzech lat trzy roczniki uczą się bez podręczników w ogóle. Nauczyciel wymyśla zadania sam. Nie wnosi 15 procent inwencji własnej, co zakłada program w zupełności innych zresztą celach, tylko całe sto procent. W tym roku spłynęła pierwsza partia tych podręczników do szkoły; na ogólnie zapotrzebowanie 600 egzemplarzy, do tarło 197... Co trzeci uczeń więc dostanie, ale dobre i to. — A inne zalegają szkolny magazyn, bo już nieaktualne. Czy tak? Które to? — Służby tytułami, które się przesyły: „Ekonomia i organizacja pracy”, „Chemia spójnicza” do zasadniczej szkoły zawodowej, stara geometria... — Nie można ich zwrócić Domowi Książki? — A po co weźmie makulaturę? Gdyby je rozproszadzał od początku — miałby w kalkulowaną stratę i ryzyko w manipulacje handlowe. A tak niech traci szkoła i niech się martwi szkoła. — System sprzedaży więc też nie ten? — Oczywiście. Rzeszowskie Kuratorium na własną rękę opracowało projekt rozdziału podręczników szkolnych i przesłało resortowi do zatwierdzenia; szkoła zakupiła co roku 20-30 proc. podręczników, wciągnęła do biblioteki i na zasadzie wypożyczeń rozdzieliła między najbliższych uczniów. Reszta kupiła podręczniki za własne pieniądze, które pójda na potrzeby szkoły. Nie ma bowiem uzasadnionych przyczyn, by darmo rozdawać komplety podręczników

warte od 900 do 1700 złotych wszystkim uczniom, po równo. — A co będzie z wdrażaniem reformy w pierwszej klasie szkoły średniej w tym roku? Poruszyła pani tę kwestię w Komisji Edukacji Narodowej i Młodzieży w Sejmie? — Złe będzie. Jeśli się wdroży na lapu capu — będzie to reforma popiesza i diabła warta. Jeśli się nie wdroży w ogóle w tym roku, będzie jeden rocznik uczniów z lukami, które nigdy nie zostaną wypełnione. — Dlaczego? — Bo szkoła podstawowa pozostawiła dane zagadnienie szkoły średniej, a ta nie zdążyła go uwzględnić. Brak ciągłości nauczania zawsze rodzi luki. — A było na to parę lat, czyż nie? — Oczywiście. — Stare — nowe zaniedbanie? — Zaniedbanie. Po staremu. Jakoś to będzie. I jakkolwiek by było — w tym wypadku będzie źle. — A wyż presuwa się coraz wyżej. — Tak. Na razie przewala się przez szkoły podstawowe, potem znacznie szturmować do szkół średnich. — I mówimy: powszechne, średnie wykształcenie! Ono podobno już trwa. — Tak, bo 90 proc. dzieci kontynuuje naukę po szkole podstawowej. Ale z tego 53 proc. dzieci w zasadniczej szkole zawodowej. — I wyż rodzi wyż. Co mu potrzeba będzie, jest taki plan? — Jest. Nierówny w sferze finansowej. — Ile przeznaczamy w Rzeszowskim rocznie na oświatę? — Około dwa miliardy złotych. Z tego ponad połowę pochłaniają uposażenia nauczycieli. — A program rozwoju bazy oświatowej przewiduje jaką kwotę? — Dokładnie dwadzieścia dwa miliardy dwieście siedemdziesiąt sześć milionów złotych tylko na inwestycje. Z tego dopiero byłoby wszystko to, co najpotrzebniejsze. Czyli budowa: 129 przedszkoli — byłyby to przedszkola dla ilości dzieci już urodzonych, które za trzy lata pójda do przedszkola, za siedem do szkoły 155 szkół podstawowych 8 szkół specjalnych 5 liceów ogólnokształcących 6 dużych szkół zawodowych 6 warsztatów szkolnych 6 internatów 6 specjalnych zakładów wychowawczych 488 mieszkań dla nauczycieli 50 brakujących sal gimnastycznych Oto są potrzeby. Obliczone w cenach obowiązujących w 1984 roku. — Na to jest jeden miliard z budżetu wojewódzkiego rocznie? — Niepełny, niepełny. — Pani dyrektor, w pani szkole uczy się na dwie zmiany... — Dokładnie na dwie i pół, przez okrągły tydzień, bo w soboty i niedziele odbywa się nauka dla pracujących. W 22 sa-

(CIĄG DALSZY NA STR. 2)

W PRACOWNIACH LUDZI NAUKI

NAJBLIŻEJ ŻYCIA

Z prof. dr. hab. JANEM WINIARZEM, prawnikiem - rozmawia ANDRZEJ PIĄTEK

Jeszcze jako student z obowiązku przeczytałem pana „Prawo rodzinne” i uderzyła mnie przejrzystość myśli wyrażonych bardzo prostym językiem...

To przecież oczywiste, że jeżeli cokolwiek wiemy, powinniśmy zawsze mówić i pisać o tym zrozumiale i w sposób przystępny.

A jednak wielu uczonych posługuje się czytkiem niezbyt jasnym dla przeciętnego czytelnika.

Niektórzy być może uważają, że zawłóknienie stylu określa stopień powagi podejmowanego tematu. A przecież to, jak czyta się pracę, wcale nie oznacza, że omawiane w niej problemy są łatwe do zapamiętania.

Podzielim to odnośnie słowa pana do książki, o jakiej wspominałem. Jej pierwsze wydanie ukazało się w 1974 roku. Później należałoby oczekiwać w tym roku Podobna zamierza pan pracować nad szóstym wydaniem. Czym one różnią się pomiędzy sobą?

Tylko wydanie z 1980 roku było kopią tego, jakie ukazało się w 1977 roku. Pozostałe zawierają zmiany i uzupełnienia w porównaniu z wcześniejszymi, bowiem nauka nie stoi w miejscu. Ukazują się monografie i artykuły, gdzie podejmowane są i rozwiązywane nowe problemy. Wiele ważnych życiowych kwestii rozstrzygają sądy.

Zmienia się także stan prawny. Należy to opisać i ocenić, przedstawiając stanowisko innych autorów i swoje własne, nierzadko odlegające od wyrażonych poglądów. Obowiązkiem autora jest informowanie czytelników o najbardziej aktualnym stanie rozwoju nauki i orzecznictwa sądowego. A to określa konieczność wprowadzania zmian w równoczesnym zachowaniem troski, by nie powiększyła się objętość pracy.

Powiedział pan, że kierowano się dobrem dziecka, jego sytuacją w nowej rodzinie, a przecież nie wiadomo, jak te stosunki w przyszłości ułożą się.

Tak naprawdę, to w życiu nigdy nie wiadomo co i jak się ułoży. Ustawodawca podjął pewne ryzyko, mając do tego podstawy. Proszę bowiem zwrócić uwagę, że chodzi o dziecko, którego rodzice wyrazili zgodę na adopcję nie wiedząc, kto będzie je adoptował. Pod znakiem zapytania stała więc ich miłość i przywiązanie do dziecka. Jeżeli zaś okazało się, że adoptujący nie sprawuje należytych władz rodzicielskich, to zdarza się także w rodzinie naturalnej, to i tak będzie musiał zająć stanowisko sąd. Należy jednak wspomnieć, że poza omówioną postacią adopcji prawo nasze przewiduje jeszcze dwie inne jej formy.

Czy tylko zmiany ustawodawcze skłaniają pana do uzupełnienia treści książki w jej kolejnych wydaniach?

Zmieniają się także z upływem lat moje poglądy. Nie wahałem się tego powiedzieć, ponieważ w moim przekonaniu każdy zajmujący się pracą naukową tak długo rozwija się, jak tylko potrafi doskonalić swoje wyobrażenia i opinie, czerpiąc z uważnej obserwacji zjawisk życia i przewartosciując zdobyte doświadczenia. W przeciwnym wypadku ulega skostnieniu, odrywa się od otaczających go realiów. Z upływem lat zmieniały się również moje wyobrażenia o życiu i oceny uformowań prawnych. Obecnie inaczej patrzę na problem równouprawnienia. Coraz bliżej staję się stanowisku profesora Jana Gwiazdomorskiego, z którym ongiś polemizowałem, a który twierdził nie bezasadnie, że prawa kobiety i mężczyzny w małżeństwie powinny być równe, ale nie jednakże. Praca zawodowa nie powinna być dla kobiety meżatki koniecznością ze względu na stałe i niepełnienie rodzinnego portfela. Jeśli należałoby pozostawić swobodny wybór, uzależniając go od możliwości pogodzenia należytego wypełniania obowiązków matki i dobrej jakościowo pracy zawodowej. A kiedyby uważałem, że powinna obowiązywać bezwzględna równość.

Jak te teorie urzeczywistnił we współczesnym małżeństwie?

W obecnych warunkach na pewno nie jest to łatwe, wobec nadal występującej trudności na rynku, braku odpowiedniej ilości przedszkoli i żłobków oraz niedostatków pieniężnych. Może jednak kiedyś organizacja kobiecych uzna, że w razie adopcji dziecka, na którą rodzice wyrażili zgodę nie wiedząc kto będzie adoptującym, nie jest dopuszczalne rozwiązanie jej, ani też późniejsze umanie dziecka przez jego ojca lub sądowe dochodzenie ojcostwa. W wypadku omawianego przysposobienia określanego przez profesora Stefana Grzybowski jako całkowite, a przede mną jako pełne nie odwołalne, sporządza się nowy akt urodzenia dziecka, gdzie jako rodziców wymienia się przysposabiających. O sporządzeniu nowego aktu urodzenia dokonuje się wzmianki na marginesie dotychczasowego osoby adoptowanej. I ten nie podlega ujawnieniu; nie wyjawia się z niego odpisów lub wyciągów ani nie uwzględnia się jego treści w odpisach i wyciągach z nowego aktu urodzenia dziecka zaadoptowanego. W ten sposób zatajone zostaje pochodzenie dziecka, w myśl przyjętego założenia - dla jego dobra.

ganiacji kobiecych uzna, że w razie adopcji dziecka, na którą rodzice wyrażili zgodę nie wiedząc kto będzie adoptującym, nie jest dopuszczalne rozwiązanie jej, ani też późniejsze umanie dziecka przez jego ojca lub sądowe dochodzenie ojcostwa. W wypadku omawianego przysposobienia określanego przez profesora Stefana Grzybowski jako całkowite, a przede mną jako pełne nie odwołalne, sporządza się nowy akt urodzenia dziecka, gdzie jako rodziców wymienia się przysposabiających. O sporządzeniu nowego aktu urodzenia dokonuje się wzmianki na marginesie dotychczasowego osoby adoptowanej. I ten nie podlega ujawnieniu; nie wyjawia się z niego odpisów lub wyciągów ani nie uwzględnia się jego treści w odpisach i wyciągach z nowego aktu urodzenia dziecka zaadoptowanego. W ten sposób zatajone zostaje pochodzenie dziecka, w myśl przyjętego założenia - dla jego dobra.

A nie została wskutek tego zachwiana wolność jednostki, dziecko, kiedy dorosłe ma prawo dowiedzieć się, kim był jego rodzic?

Pana wątpliwość nie jest pozbawiona słuszności. Osobiście również nie mam przekonania do wszelkich manipulacji prowadzących do zatajenia pochodzenia. Jednakże musimy powiedzieć, że tej zasadzie przywiązały bardzo szlachetne intencje. Ale składając wiadomo, jak to z dobrymi intencjami bywa. Wprowadzając unormowanie, chyba nie zastanawiano się głębiej nad ubocznymi następstwami przyjętego rozwiązania, jak np. że taki przysposobiony, którego pochodzenie zostało zatajone, może zakochać się w rodzonej siostrze, nie wiedząc o tym, że jest jej bratem...

Powiedział pan, że kierowano się dobrem dziecka, jego sytuacją w nowej rodzinie, a przecież nie wiadomo, jak te stosunki w przyszłości ułożą się.

Tak naprawdę, to w życiu nigdy nie wiadomo co i jak się ułoży. Ustawodawca podjął pewne ryzyko, mając do tego podstawy. Proszę bowiem zwrócić uwagę, że chodzi o dziecko, którego rodzice wyrazili zgodę na adopcję nie wiedząc, kto będzie je adoptował. Pod znakiem zapytania stała więc ich miłość i przywiązanie do dziecka. Jeżeli zaś okazało się, że adoptujący nie sprawuje należytych władz rodzicielskich, to zdarza się także w rodzinie naturalnej, to i tak będzie musiał zająć stanowisko sąd. Należy jednak wspomnieć, że poza omówioną postacią adopcji prawo nasze przewiduje jeszcze dwie inne jej formy.

Czy tylko zmiany ustawodawcze skłaniają pana do uzupełnienia treści książki w jej kolejnych wydaniach?

Zmieniają się także z upływem lat moje poglądy. Nie wahałem się tego powiedzieć, ponieważ w moim przekonaniu każdy zajmujący się pracą naukową tak długo rozwija się, jak tylko potrafi doskonalić swoje wyobrażenia i opinie, czerpiąc z uważnej obserwacji zjawisk życia i przewartosciując zdobyte doświadczenia. W przeciwnym wypadku ulega skostnieniu, odrywa się od otaczających go realiów. Z upływem lat zmieniały się również moje wyobrażenia o życiu i oceny uformowań prawnych. Obecnie inaczej patrzę na problem równouprawnienia. Coraz bliżej staję się stanowisku profesora Jana Gwiazdomorskiego, z którym ongiś polemizowałem, a który twierdził nie bezasadnie, że prawa kobiety i mężczyzny w małżeństwie powinny być równe, ale nie jednakże. Praca zawodowa nie powinna być dla kobiety meżatki koniecznością ze względu na stałe i niepełnienie rodzinnego portfela. Jeśli należałoby pozostawić swobodny wybór, uzależniając go od możliwości pogodzenia należytego wypełniania obowiązków matki i dobrej jakościowo pracy zawodowej. A kiedyby uważałem, że powinna obowiązywać bezwzględna równość.

Jak te teorie urzeczywistnił we współczesnym małżeństwie?

W obecnych warunkach na pewno nie jest to łatwe, wobec nadal występującej trudności na rynku, braku odpowiedniej ilości przedszkoli i żłobków oraz niedostatków pieniężnych. Może jednak kiedyś organizacja kobiecych uzna, że w razie adopcji dziecka, na którą rodzice wyrażili zgodę nie wiedząc kto będzie adoptującym, nie jest dopuszczalne rozwiązanie jej, ani też późniejsze umanie dziecka przez jego ojca lub sądowe dochodzenie ojcostwa. W wypadku omawianego przysposobienia określanego przez profesora Stefana Grzybowski jako całkowite, a przede mną jako pełne nie odwołalne, sporządza się nowy akt urodzenia dziecka, gdzie jako rodziców wymienia się przysposabiających. O sporządzeniu nowego aktu urodzenia dokonuje się wzmianki na marginesie dotychczasowego osoby adoptowanej. I ten nie podlega ujawnieniu; nie wyjawia się z niego odpisów lub wyciągów ani nie uwzględnia się jego treści w odpisach i wyciągach z nowego aktu urodzenia dziecka zaadoptowanego. W ten sposób zatajone zostaje pochodzenie dziecka, w myśl przyjętego założenia - dla jego dobra.



Fot. W. KIRSZNER

dzie będą mogli wybierać; kto będzie pracował zawodowo na utrzymanie rodziny, a kto roztaczał pieczę nad dziećmi i gospodarstwem domowym?

Jeżeli przyjmujemy, że prawo rodzinne określa dosyć inelastyczne stosunki w małżeństwie i rodzinie, to zgodził się pan zapewne, że ma ono szczególne znaczenie wspólne z moralnością.

Ma pan rację, prawo rodzinne rzeczywiście jest najbliższe życia i człowiekowi.

Co pana skłoniło, że kiedyś zainteresował się pan studiami prawniczymi?

Wybor kierunku studiów często bywa sprawą przypadku. Kiedyś uznano, że mam urodzenie prawnicze, ale było to w latach, kiedy również podejmowałem próby poetyckie, reportażu i publicystyki także nieco próbowałem. Są to czasy tak odległe, że prawie już zapomniałem o tym. Później interesowałem się medycyną. Miałem już złożone podanie na studia medyczne we Wrocławiu, ale uzyskałem stypendium Ministerstwa Sprawiedliwości. I tak zaczęła się ta droga, o której długo można by rozmawiać. W Uniwersytecie Warszawskim profesorowie Witold Czachórski i Jan Wasilkowski urzekli mnie swoją niezależnością poglądów z jednoczesnym poczuciem realizmu i zrozumienia określonych uwarunkowań. Zaczęła nas później dyskusja współpracownika, która wiele mnie nauczyła.

W przeszłości niezależnie od prawa rodzinnego interesował się pan również prawem gospodarczym.

Te zainteresowania pojawiły się na marginesie innych. Kiedy znalazłem się jako docent w Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w Toruniu, musiałem ta dziedziną zająć się z konieczności. Większych zainteresowań w związku z tym nie przewiduję. Uwieśnięciem tych moich działań, jest praca do druku przez Państwowe Wydawnictwo Naukowe książki „Prawo obrotu gospodarczego”, której jestem współautorem.

Czym pan zajmuje się obecnie?

Od kiedy pracuję w rzeszowskiej Filii Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej ponownie zainteresowałem się głównie prawem rodzinnym. Przed kilkunastu dniami ukazał się „System prawa rodzinnego i opiekuńczego”, którego jestem również współautorem. W druku znajduje się piąte, zmienione i uzupełnione wydanie mojego „Prawa rodzinnego”. Na publikowanie czekałem w Wydawnictwie Prawniczym drugie, zmienione wydanie kodeksu cywilnego z komentarzem pod moją redakcją, gdzie opracowałem rozdział o własności i innych prawach rzeczowych. Wkrótce powinna również ukazać się praca „Rodzina i dziecko”, trzeci, zmieniony wydanie, której jestem współautorem.

Czym zamierza pan zajmować się w najbliższej przyszłości?

Najpierw muszę napisać kilka omówień, zawierających oceny niektórych opublikowanych wydawnictw i dwie recenzje przewodów habilitacyjnych, a to wyjątkowo nudzące zajęcia. Do końca czerwca zamierzam przygotować swój rozdział w komentarzu do kodeksu rodzinnego i opiekuńczego. Ponadto przewiduję kilka mniejszych form autorskich jak glosy i artykuły. Mówić natomiast, zamierzam pogłębić ta dziedziną, jakimi zajmowałem się do tej pory. Nieprzerwanym kolowrot zajęć pozwala mi osiągnąć złudzenie przewyższania smutku plynącego z poczucia samotności i poszukiwać w tej krzątaninie jakiegoś znaczenia.

Jeżeli sformułował pan w tym czasie, że prawo rodzinne jest najbliższe życia i człowiekowi.

Ma pan rację, prawo rodzinne rzeczywiście jest najbliższe życia i człowiekowi.

Dariusz Dubiel

„ZŁOTY LEMIEŚZ” ZARDZEWIAŁ

Refleksje Mieczysława Teodorczyka na temat konkursów o „Złoty lemiesz” im. J. Przybosa zamieszczone w artykule „Potrzebny jest człowiek z pasją” („Widnokrąg” nr 26 (85) pobudzają do dyskusji. Impresja, która w swoim założeniu miała być nowatorska, od wielu lat stała się „szkolnym” powieleniem ogólnopolskich konkursów recytatorskich, zaś w dziedzinie teatrów poezji nieudolnym naśladowaniem rozwiązań formalnych początki lat siedemdziesiątych. Instytucje i pracownicy odpowiedzialni za ten obszar kultury muszą przyjąć postawę czynną. Walczyć muszą o nowe oblicze ruchu teatralnego i to walczą bezkompromisowo, tak jak bezkompromisowo walczyli o nowatorstwo w poezji patron tej imprezy, rzeszowski krajan, poeta Julian Przybóś.

Jako współtwórca i wierny towarzysz tej imprezy boleję, że to co było nowatorskie, zostało zatracone i zagubione. Podstawowa dewiza było poszukiwanie formalne w sztuce recytacji. A więc recytacja poszerzona o środki aktorskie i teatralne: o ruch i gest sceniczny, o muzykę, światło, kostium, rekwizyty, o nowatorską interpretację. Regulamin sugerował recytację w konwencji teatru jednego wiersza. Ta możliwość nie tylko nie została rozwinięta, ale przez kolejnych organizatorów nieudolnych wagi rzeczy po prostu zagubiona i spowodowała do powielania „szkolnej” recytacji, czyli wyprzedzania tekstu poetyckiego bez głębszego rozumienia spraw i problemów w nim zawartych.

Patron tego konkursu Julian Przybóś wyraźnie mówił: „Recytator powinien tak mówić wiersz jakby go tworzył”. Pamiętajmy instruktorów i wykonawców, których to hasło regulaminowe pobudzało do twórczości, do rozwoju intelektualnego i artystycznego: Artur Barciak, Krzysztof Globisz, Jolanta Biela, Józef Gmyrek, Jan Perandryk. To oni prezentowali niepowtarzalne,

twórcze interpretacje wierszy podbudowane teatralnymi środkami artystycznymi. Wszyscy są dzisiaj znaczącymi aktorami naszego teatru i filmu. Ale wtedy nie działali sami. Obowiązywała zasada pracy z mądrym instruktorem. Do tej opieki instruktorskiej były obligowane domy kultury. A jak to jest dzisiaj? Co się stało z instruktorami i konsultantami skupionymi wokół domów kultury? Co się stało z seminariami i szkoleniami przygotowującymi instruktorów i nauczycieli do podjęcia pracy w zakresie konkursu o „Złoty lemiesz”? Jeśli nie będziemy inwestować w kadry specjalistów, nie będziemy inspirować ich do poszukiwań nowych wartości, to będziemy formułowali bezradne sądy „jest, jak jest”. A może sprawa ta ma głębszy aspekt? Może błąd tkwi w tym, że struktura domów kultury od lat nie zmieniała się, chociaż nokoło wszystko się zmieniło. Może zbyt przywykliśmy w domach kultury do gabinetowego systemu pracy, do siedzenia za biurkiem?

Wstyd mi było na ostatnim finale konkursu o „Złoty lemiesz” w WDK w Rzeszowie za poziom prezentowanych tekstów poetyckich, za jednorodność poszukiwań repleturowych. Czy można być zadowolonym, że na imprezie, która ma charakter ogólnopolskiego konkursu, prawie wszyscy występują anonimowo? Gdzie te czasy, kiedy prezentując recytatora dowiadujemy się kim on jest, z jakiego środowiska pochodzi, czy jest uczniem, czy osobą pracującą, czy jest to jego debiut, może ma jakieś osiągnięcia, nagrody? Wszystkie te informacje mają ogromne znaczenie zarówno dla samych wykonawców, jurorów, czy studentów. W zamian otrzymujemy niekwalifikującą informację podawaną przez zagubione dziewczę nieopiewająca polszczyznę. Temu przygląda się młodzież przyjeżdżająca tłumnie do Rzeszowa - mądra, wrażliwa, krytyczna.

Kazimierz Surowiec

BAŚŃ O ODZYSKANEJ RADOŚCI

Spóźniona premiera „Baśni o skradzionej radości” Adama Gruski zebrała tym razem nie tylko wierną publiczność, ale także sympatyków i kolegów autora, w zimnej sali Teatru Skały Budowlanych przy ul. Towarzystwa. Takie są, niestety, konsekwencje tułaczego losu rzeszowskiego „Kacperka”.

Gruska, w którego baśniowych utworach widać niezwykle wyciszenie na zjawiska współczesnego świata, zajął się w swej sztuce jedną z podstawowych potrzeb człowieka: potrzebą fabularną. Przenosząc zdarzenia fabularne w wymyślony świat baśni, stworzył barwną opowieść o straconej i odzyskanej radości. Spektakl ujął pewne niedociągnięcia warsztatowe młodego autora: brak dynamiki w konstruowaniu zdarzeń fabularnych, co przejawiało się nadmierne rozbudowanie niektórych epizodów - nie zawsze psychologicznie uмотywowane przemiany bohaterów, zbyt wiele „rozgadania” niektórych fragmentów. Równocześnie jednak zaskakuje zwłaszcza odbiorcę dorosłego, celność refleksji nad człowiekiem i jego światem, dobrze świadcząca o postawie Adama Gruski, który chciał w swym utworze powiedzieć coś więcej, niż tego wymagałyby kanony gatunku baśniowego.

Reżyser rzeszowskiego spektaklu, Wiesław Sierpiński, zdecydował się na zabieg coraz częściej w teatrach lalkowych: ukazanie gry aktora i animacji lalki, co pozwala inaczej konstruować świat przedstawiony. Nie widać dziwnego, że sceniczne działanie się rozpoczyna ekspozycyjną sceną, ukazującą poprzez alegoryczne obrazy radośnych ludzi w „Wesołym Miście”.

Układ spektaklu wyraźnie ujął następstwo scen o dużym ładunku emocjonalnym, przeplatanych humorystycznymi epizodami, dzięki czemu można było osiągnąć swobodę „falowania uczuć” u dziecięcej widowni. Nie została natomiast wykorzystana szansa jej aktywizacji i nawiazania z nią kontaktu, jaką stwarzały niektóre fragmenty sztuki.

W tym bardziej aktorskim, niż lalkowym spektaklu na plan pierwszy wyblęła się niewątpliwie kreacja Wiesława Sierpińskiego i Andrzeja Plechucha. Pierwszy z nich stworzył agresywną postać

Kruka i - Fausty, a także ujął swój kunszt aktorski, jako Diabeł III - Capi Brońka w epizodycznej scenie „Sądu” nad diabłami, kiedy to „urządził się strachu”. Drugi budował swą rolę oszczędnie, ograniczając gest i animację, dzięki czemu stworzył charakterystyczną postać Burmistrza. Mogły się też podobnie rozbić i sugestijna Joanna Wiądyka, jako Stomoga - Eleonora, oraz pełna werwy antagonista Kruka i - Maria wercy antagonista Kruka i - Stągiewka. W dramacie postaci baśniowego literata Tuptusia (Bogusław Fród), mogło być nieco więcej liryzmu. Pozostał aktorzy również dobrze wywiązały się ze swych zadań.

W inscenizacji starano się wykorzystać środki typowe dla „teatru dzieci”. Jednakże efekty artystyczne, jakie można było dzięki temu uzyskać, zakłócało świetlenie sceny, które zaćmiało część widowni, „przekazy”, zwłaszcza w scenach początkowych, gdy akcja niepotrzebnie przenosiła się na wiele planów (nakładając się cienie na ścianach bocznych).

Kolejną premierą w „Kacperku” świadczy o pewnej ewolucji rzeszowskiego zespołu od teatru lalki i aktora ku teatrowi aktora i lalki. Zmienia się także skład aktorski, czego przykładem choćby Jadwiga Wiądyka. Wypada więc życzyć temu zmiennemu zespołowi, by nie ustawał w dalszych poszukiwaniach artystycznych. Na koniec może jeszcze jedna propozycja. Warto pokusić się o to, by Tuptus - Bogusław Fród wyjmował ze swego „poetyckiego” plecaka książki nie kogoś innego, lecz właśnie Adama Gruski. Inny byłby wówczas sens jego ostatnich refleksji.

Teatr Lalki i Aktora „Kacperka” w Rzeszowie: Adam Gruska - „Baśń o skradzionej radości”, Reżyseria: Wiesław Sierpiński. Asystent reżysera: Bogusław Fród. Scenografia: Janusz Pokrzywa. Muzyka: Andrzej Szymalek. Aktorzy: Bogusław Ciesielski, Tadeusz Czwałkiewicz, Maria Dańczyszyn, Bogusław Fród, Robert Luszowski, Andrzej Plechuch, Wiesław Sierpiński, Małgorzata Szczęrek, Jadwiga Wiądyka. Premiera 9 lutego 1986 roku.

Adam Łazarz

TRYBUNA NAUCZYCIELSKA

WOLNE SOBOTY W SZKOŁACH

ŻYCIE A „WYTYCZNE”

Zabierając głos w sprawie wolnych sobót w szkołach chciałem wyodrębnić na światło dzienne problemy nurtujące oświatę, zacheć do dyskusji nad nimi. Zabrał głos red. Zbigniew Krempf i Ludwik Bieszcza. Bardziej ożywiła dyskusja toczy się wśród nauczycieli i rodziców. Zniesione zostaną w szkołach wolne soboty, czy nie? Nie zapada jeszcze decyzja. Jest zatem nad czym dyskutować. Problem przedstawiam w zbył jaskrawych barwach. Nie podobało się to Z. Krempfowi („Widnokrąg”, nr 2, z 21 I 1986 r.), stonował kolor, przy okazji podmalował mnie „na szaro”. Z kontekstu wyjął kilka zdań, rozprawił się z nimi. W moim przekonaniu nie do końca. Zarzucił mi, że „miał pojęcie, niekiedy popadał nawet w lekturę demagogiczną”, rozdzieram szaty w imię „drowia uczniowie”, demonizuję „Wytyczne”

blem gdańskich szkół, nie podnosiłbym larum. Podobnie myślał uczniowie w stolicy. Oto dowód:

— Żyję właśnie dzięki wolnym sobotom. Gdyby nie one, po prostu nigdy bym nie odpoczął. Nie miałabym nawet tej o-drobinki wolnego czasu dla siebie i przyjaciół.

— Wolne soboty w szkole są niezbędne. Tak się złożyło, że pierwszy rok chodziłam w systemie sześciodniowym, był to dosłownie obłęd. Po przyjęciu w sobotę ze szkoły niewiele można zrobić, natomiast cała niedziela jest zajęta, niemal od rana do wieczora.

— Wolne soboty są potrzebne. Pamiętaj, że kiedy chodziłam do szkoły podstawowej i kiedy uczyliśmy się w soboty, to właściwie całe wolne w czasie to była sobota wieczorem, natomiast w większości niedziel poświęcałam naukę. W tej chwili, kiedy wolne soboty mają już trzy lata, zabranie ich byłoby wielkim nieszczyśnięciem dla uczniów.

Te zdania pochodzą z wypowiedzi uczniów z warszawskich szkół, a cytował je Andrzej Chruszczyński w artykule „Czy winne są wolne soboty?” w nr 25(169) „Przeglądu Tygodniowego”. Podobnie napisali uczniowie z Rzeszowa, Krosna, Przemysła. Są przeciw przeladowaniu i za trudnym

programem nauczania, w których brak miejsca na utrwalenie i powtarzanie, przeciw częstym sprawdzinom i kartkówkom, przeciw szkole bez podręczników i lektur, w której panuje nakaz, a brak miejsca na to, co najbardziej ludzkie: kształtowanie ludzkiego sumienia, człowieczeństwo osobowości. W wielu z dziedzin szkoły graszysy. Z cienia wolnych sobót wydobylem niektóre jej niedomagania, by zachęcić Czytelników do poszukiwania dróg naprawy. Moja intencja zrozumiał p. Ludwik Bieszcza. Wskazał kilka propozycji zmierzających do naprawy rzeczywistości szkolnej.

Natomiast red. Z. Krempf nie pozwolił mi wyjść poza temat wolnych sobót. Udowodnił swoim rekonesansem, że nastąpiła znaczna poprawa we wdrażaniu „Wytycznych” w sprawie pracy szkół w wolne soboty, w porównaniu do sytuacji jaką zastał w październiku. Dowody są prawdziwe. Jestem przekonany, że im bliżej będzie końca roku szkolnego, tym więcej będzie zajęć w szkole. Tak było w poprzednich latach. Nie było natomiast „Wytycznych”. Bo

najpierw było życie, a potem „Wytyczne”

Nie potrzeba było wyjazdu w teren, by udowodnić, że w Dynowie, Tarnobrzegu odbył się 11 stycznia br. konkurs języka rosyjskiego. Wszystkie konkursy przedmiotowe, począwszy od eliminacji szkolnych, a skończywszy na wojewódzkich odbywają się w wolne soboty. Tak jest od wielu lat. Na wiosnę dojdą igrzyska sportowe. Piękną imprezą są przeglądy dorobku kulturalnego szkół, organizowane od kilku lat w Przemysku. Poprzą galowe miejskie i gminne odbywają się także w wolne soboty lub niedziele. Szkoły także pracują na dwie zmiany, zajęcia pozalekcyjne, praktyki uczniowskie, zbiórki harcerskie, organizacja w soboty. Tak dzieje się nie tylko w podległej mi Szkole Podstawowej nr 2 w Lubaczowie, ale w wielu innych. Wynika to z odpowiedzialności szepołów nauczycielskich za wyniki nauczania i wychowania. Dobre szkoły od dawna za-

gospodarowały wolny czas młodzieży, bez „Wytycznych”. Decyzja rad pedagogicznych, samorządności młodzieży, zaradności rodziców. Dobrowolnie i bez przymusu. Zgodnie z życzeniem Redaktora. Zagospodarowały wolny czas około jednej trzeciej młodzieży. Tej najbardziej zdolnej. Ona bierze udział w tych zajęciach. Zagospodarowały prawie do końca czas wolny nauczycieli. Im Karta Nauczyciela gwarantuje dzień wolny. Tymczasem swoje pensum odpracowują w 5 dniach tygodnia. W soboty pracują społecznie, a w najlepszym przypadku, za wynagrodzeniem nie przekraczające 4 godziny nadwyzmiarowe.

Coraz częściej w dyskusjach prowadzonych przez nauczycieli słyszy się takie opinie: — Niech prasa przestanie pisać i mówić o 18 godz. pracy nauczycieli, o ich wolnych sobotach, o długich feriach, o przywilejach tego zawodu. Skoro tak dobrze w naszym zawodzie, to dlaczego tak duży deficyt kadrowy?

— Chyba w nowym roku szkolnym zdecydujemy się na 6-dniowy tydzień nauki. Byle była przestrzegana Karta Nauczyciela, jej zapis o 5-dniowym czasie pracy. Obecna Instrukcja o organizacji pracy określiła 260 dni dydaktycznych. Musimy uczyć w soboty robotce, odrabiać dni ustawowo wolne. Ci, co pracują w systemie 6-dniowym tego nie czynią. Pracują znacznie krócej. A i opinia publiczna niczego im nie zarzuca.

Jeśli słowa przemieniają się w czyn, to „Wytyczne” stracą swój sens.

Czym są obecnie „Wytyczne”?

W odpowiedzi na to pytanie różni się red. Z. Krempfem. Dziennikarz pojmuje je jako propozycje resortu do pracy na wolne soboty. Propozycje dobrowolne, nie obowiązkowe, zarówno dla szkoły jak i uczniów. Z chwilą ukazania się ich w Dzienniku Urzędowym Ministerstwa Oświaty i Wychowania przyjąłem je jako akt prawny, który muszę wytrzymać w życie. Stały się one przedmiotem oceny podczas wizytacji szkół przez inspektorów, kuratorów, kompleksowej oceny Inspekcji Terenowej i innych organów kontrolujących. Co prawda, nikt nie stosuje „groźby” kar niemal pięciolich”,

ale kary moralne są bardziej dokuźliwe. Ilu wolałoby dostać pasek, niż znaleźć się w protokołach pokontrolnych. Kto, jak kto, ale szkoła powinna uczyć przestrzegania prawa. Jako akt prawny - w moim przekonaniu - jest nie dopracowany. W każdej innej branży zawodowej, jeśli poleca się pracować w wolne soboty, to określa się zasady wynagrodzenia. „Wytyczne” nie uczyniły tego odnośnie pracy pracowników oświaty. Wypowiadał dyrektorów szkół, inspektorów swracali uwagę na ten mankament. Oświata jest niedofinansowana. Brakuje pieniędzy na bieżące utrzymanie szkół. Opracowano program oszczędnościowy. W nim zaleca się łączenie małych liczbnych oddziałów, grup wyrównawczych, itd. Nie stać nas na wynagrodzenie za pracę w wolne soboty. Wobec tego

szkoly je układowy

Rodzi się w ministerstwie oświaty i wychowania koncepcja nowego roku szkolnego, a w niej ciekawy wariant pracy szkół. Zachowanie wolnych sobót we wrześniu i październiku oraz w maju i czerwcu. W pozostałe miesiące szkoły pracowałyby 6 dni w tygodniu. Nauczycielom zagwarantuje się 5-dniowy tydzień pracy, zgodnie z Kartą Nauczyciela. Pytań jest wiele: Jak to uczynić w stosunku do nauczycieli klas nauczania początkowego? Jak płacić nauczycielom administracyjno-obrotowym, którzy mają prawo do wolnych sobót? Jak funkcjonować będzie komunikacja, dowożenia dzieci do szkół? Co zrobili nauczycielki mające małe dzieci, gdy nie będą czynne żłobki? Pytań jest znacznie więcej. Należy na nie odpowiedzieć przed podjęciem decyzji. W swoim 7-punktowym programie resortu minister Joanna Michałowska-Gumowska, a zaprezentowanym na XXIV Plenum KC PZPR, a także na spotkaniu w Przemysku i Rzeszowie, zapisała „odchudzenie programów nauczania” jako temat „na wczoraj”. L. Bieszcza wskazał, jak to uczynić. Twierdzi, że „odchudzenie” należy robić równocześnie z likwidacją wolnych sobót. Bo powrót do sześciodniowego tygodnia nauki bez innych zmian i ulepszeń formalnych i merytorycznych, nie może przynieść spodziewanego efektu.

NA EKRAKACH

PODRÓŻE PANA KLEKSA



Już niebawem sukces frekwencyjny i artystyczny „Akademii Pana Kleksa”, mógł być ostatecznie przekonany widza, jak wartościowy fenomen odkrył i przeformował w polskiej kinematografii Krzysztof Gradowski, sięgając po dzieło Jana Brzechwy. Jego zasługa polega na tym, że potrafił dla werbalnego, literackiego budulca pierwowzoru znaleźć odpowiednik w postaci filmowych obrazów. „Akademia Pana Kleksa” od premiery w styczniu 1984 r. do połowy 1985 r. obejrzało ponad 12 milionów widzów, a przecież liczbą ta wciąż rośnie. Nie licząc współproducenta — ZSRR — „Akademii” kupiło już wiele krajów. Garsć tych faktów warto przypomnieć z okazji premiery „Podróży Pana Kleksa”, filmu będącego ekranizacją drugiej części opowieści Jana Brzechwy. Nowemu filmowi wróżyć można powodzenie jeszcze większe niż miało „Akademia”. Zachowując wiele z poetyki tamtego prekursorskiego utworu, Gradowski nadał „Podróżom Pana Kleksa” charakter bardziej nowoczesnej, nawiązującej do psychologicznych, a także technicznych motywów światła współczesnego. Składają

się one z 2 części: „Wysłanników Bajdoci” i „Wyspy Wynalazców”. Bajkowe wątki „Podróży” rozgrywały się w fantastycznych krainach Bajdoci, Abecji, Aotekarii i Patentonii, a bohaterowie odbywali podróże za pomocą balokotu, batyskafu, i swidrowca. Ten nowy film otrzymał jeszcze ciekawszy wystrój scenograficzny, niżeli „Akademia”. Zdjęcia kombinowane realizowano m. in. techniką dwuobiektywowej kamery, a powstały one częściowo w plenerach — w dziecięcych, np. Pałac Króla Bajdoci to jedna ze słynnych budowli jaitańskich Zespołu Ogrodów i Pałaców w Alupce, natomiast Świątynia Króla Aptekarii to zabytek klasy zerowej w Garni koło Erewania. W czarodziejską postać tytułową ponownie wcielił się PIOTR FRONCZEWSKI, zaś rolę chłopca okretowego Pietrka reżyser powierzył trzynastoletniemu Marcinowi Barańskiemu, uczniowi liceum, wybranemu spośród blisko pięciuset kandydatów. Także w tym nowym filmie nie zabraknie grupy kaskaderów. Osobną spektakularną jest popularna piosenka rockowa, Małgorzata Ostrowska w roli Królowej Abv.

J. L.

KONCERT „RZECHÓW”

W dobre dyskotek, kolorowej telewizji, videoclipów, zbierają się higienistki, pielęgniarki, nauczyciele, mechanicy, kierowcy, uczniowie w niezbyt obszernym klubie przy ul. Pułaskiego 8, by 2-3 razy w tygodniu do późnych godzin nocnych pracować nad repertuarem.

A jak to się zaczęło?

Pierwsza próba Zespołu Pieśni i Tańca „RZECHÓW” działającego obecnie pod patronatem Miejskiego Ośrodka Kultury w Środowiskowym Klubie Osiedlowym Rzeszowskiej Spółdzielni Mieszkaniowej i Pracowników Łączności w Rzeszowie, odbyła się 21 lutego 1981 roku. W zajęciach uczestniczyło ok. 20 osób. Na pierwszy ogień poszła suita tańców i przypiewek lubelskich. W ciągu 5 lat zespół wzbogacił się o własną kapelę, rozbudował repertuar. Poza tańcami lubelskimi wprowadził do repertuaru suite staromiejską, kosinięską, Łachów sądeckich, najnowszą rzeszowską. Siegnął po poloneza, mazura,

krakowiaka, a także po folklor starej Warszawy.

1 marca br. w dużej sali Państwowej Filharmonii w Rzeszowie odbył się uroczysty koncert. Zespół przedstawił w trakcie trwającego 2 godziny programu cały swój najnowszy, a także część starszego repertuaru, z towarzyszeniem 10-osobowego zespołu instrumentalnego. Wystąpiły dwie liczące po 12 par grupy taneczne — w tym najmłodsza, założona zaledwie w październiku ubiegłego roku. Nad kształtem koncertu ocenianego w tym dniu przez komisję złożoną z przedstawicieli Ministerstwa Kultury i Sztuki oraz COMUK, czuwał: Edward Hoffman, Kazimierz Bober, Jerzy Dynia oraz kierownik organizacyjny — Stanisław Mical. Nagrodą dla tancerzy za dynamiczny, pięknie przedstawiony program były ciepłe słowa gratulacji przekazane od delegacji zaprzyjaźnionych zespołów, wiązanki kwiatów oraz gromkie brawa publiczności. (J)

W SANOCKIM MUZEUM BUDOWNICTWA LUDOWEGO

Sanockie Muzeum Budownictwa Ludowego ma status parku etnograficznego — jednego z największych i najciekawszych w Polsce. Zgrupowane tu zostały m. in. unikalne zabytki budownictwa ludowego dawnych mieszkańców rejonów górskich Beskidów i Bieszczadów, w tym Lemków, Bojków i in. Tylko w ub. roku sanocki park etnograficzny odwiedziło przeszło 64 tys. turystów krajowych i zagranicznych.

Wkrótce będzie tu można zapoznać się z nowymi ekspozycjami. Niedawno np. w sektorze lemkowskiem zakończono montaż oryginalnej starej chałupy przeniesionej ze wsi Pielgrzymki, niedługo dojdzie jeszcze jeden obiekt — jednobudynkowa zagroda wiejska z Klimkówki koło Gorlic, pochodząca z początków naszego stulecia. W skansenie ustawiony zostanie mamek, jaki zachował się w Zagórzach niedaleko Gorlic, zrekonstruowany będzie także

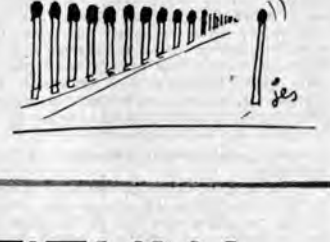
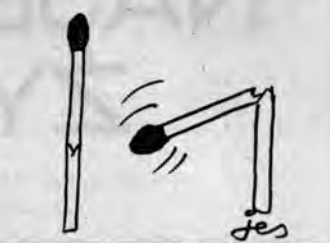
oryginalny szałas pasterski z okolic Nowego Sącza. Przeniesie się tu również 3 zabytkowe domy drewniane z Jaślików zagrodę wiejską ze Smolnika. Planowane jest urządzenie wnętrza w starej chałupie w Moszczenicy oraz odtworzenie mieszkania wiejskiego nauczyciela w chałupie w Olśzaniecy.

Tradycyjnie w maju odbywa się — na terenie sanockiego muzeum budownictwa ludowego nawiązujący do dawnych tradycji kultury ludowej mieszkańców gór i Podgórze — jarmark folklorystyczny.

Jedną z form działalności Muzeum w Sanoku są organizowane w ramach zajęć szkolnych prezentacje dawnego codziennego życia w wiejskiej chałupie. Młodzież może zobaczyć jak wygląda ręczna obróbka lnu, wytwarzanie tkanin ubraniowych i ozdobnych, wyrób narzędzi gospodarskich, sprzętu domowego itp.

(PAP)

BEZ SŁÓW



wiadomości samowolne

W SŁUŻBIE OSZCZĘDNOŚCI

Z kół dobrze zorientowanych dowiedzieliśmy się, iż opracowany przed dziesięciu laty przez inż. Alojzego Kowalskiego z Turunia projekt oszczędnościowego gaźnika jest wręcz entuzjastycznie stosowany w naszych polach mechanicznych. W ciągu tych dziesięciu lat dostarczono już 19 gaźników, pozwalających oszczędzać 23 proc. paliwa.

Dziwimy się, że przy tak szybkim tempie produkcji tych gaźników nie zaniechano dotąd reklamacji benzyny.

ILE KOSZTUJĄ BUBLE?

600 miliardów złotych rocznie kosztuje nas zła jakość produkcji. Wynika to m. in. według prof. Sliwy, z monopolu, jaki producenci posiadają na swoje wyroby. Produkcja, jak i co chce, bo nie mają konkurencji. A skąd ją wziąć, tę konkurencję? Wymaga to przecież nowego parku maszynowego, rozwiązań technologicznych itp. Monopolistę o tym wiedzą i nadal nie dbają o jakość. Ludzie wszystko kupią...

JASNIE PAN SZOFER

Kończył przystanek autobusów MPK. Zawięja, mroz. Wiatra przed nieczym nie chroni. Na przystanku kobiety z małymi dziećmi, ludzie starsi... Kilkaśmetrów za lub przed przystankiem stoi przez 10-15 minut autobus. Szczelnie zamknięty. W samochodzie kierowca pali z lubelką papierosa, czyta gazetę, je kanapkę. Na przystanku podjeżdża tuż przed planowanym objęciem. Dzieje się tak aresztu nie tylko zimą. Latem też, np. podczas ulewnej deszczu.

Nie wiemy, czy jest to czyste zarządzenie, czy też własna praktyka kierowców. Pewno aresztu słuszna, skoro nieśmiało protesty puszczane są mimo uszu. Radzymy więc nie protestować, nie pisać. Cieszyć się, że autobus nas w ogóle zabiera.

KTO MORDUJE DZIEŁA SZUKI?

Z dreszczem grozy przyczłamyli w naszym macierzystym organie z ubiegłego piątku tytuł PAP-owskiej notatki: „Ujęta zbrojów i szkodliwych dzieł sztuki”. Do czego to już dochodzi, no, no...

UTRACONE FOTELE

W odpowiedzi na zamieszczony w „Podkarpaciu” list krytykujący usługi świadczące przez restaurację „Górska” w Czarnej, wiceprezes ds. produkcji i gastronomii wyświadczył pismo, w którym m. in. czytamy: „Dla wyeliminowania podanych w liście nieprawidłowości, 15 stycznia 1986 r. zorganizowano naradę pracowniczą w restauracji „Górska” w Czarnej, na której m. in. przypomniano wszystkim pracownikom o ich podstawowych obowiązkach wobec konsumenta. Kelnerki, które zaniedbały swe obowiązki, odwołane zostały z zajmowanych stanowisk i udzielono im narady dyscyplinarnej (nagany i upomnienia)”.

To się nazywa właściwe reagowanie na krytykę! Odwołuje się zatem ze stanowisk nie tylko wójtów, prezesów i dyrektorów, ale także kelnerki i słusnie. Kto jest na stanowisku, powinien wiedzieć, czego się od niego wymaga. W piśmie wiceprezesa na łamach „Podkarpacia” zabrakło nam tylko kilku danych, jak długi była ta narada pracownicza, czy w czasie jej trwania lokal był czynny, czy też zamknięty z powodu narady, jakie misze stanowiska zaproponowano odwołanym ze stanowisk kelnerkom. Aha, jeszcze jedno: jak często odbywają się narady, przypominające pracownikom o podstawowych obowiązkach, za które pobierają pieniądze?

POWRÓT ISAURY

Ogromne zainteresowanie, jakie wzbudził poprzedni fragment „Niewolnicy Isaury”, skłania nas do kontynuowania tego bestsellera spod znaku KIK.

Kilka chwil jeszcze stał Leoncio bez ruchu, zaszepczony, z duszą szarpaną strasliwym niepokojem. Wiem wrok tego, błędny po salonie, napotkał Isaurę, która w chwili, gdy tylko się pojawił, drżąc i nie miał bez tchu, pospiesznie ukryła się gdzieś w kącie pokoju. Stamtąd, w ełchaj udręce, siedział sprzączkę obu młodzieńców nieczym raniona lania słuchająca ryku dwóch tygrysów, które walczyły o łup. Zalaowała w głębi duszy i wyrzucała sobie niedyskretne słowa. Jakże nieopatrznie wymknęły się z jej ust! Jej nierozsądek miał stać się przyczyną godnego potałowania rozumu w rodzinie, rozumu, którego — w ostatecznym rozrachunku — ona sama padnie ofiarą. Kłótnia obu mężczyzn podobna była sderzeniu dwóch burzowych chmur, które ścierają się, potem wleza chwilę naprzeciw siebie, a wreszcie odpylna każda w swoją stronę, gdy tymczasem grom wydarł z ich łona ugodził celnie nieszczęsną niewolnicę...

(DCN)



Jeżeli podczas spaceru zobaczy w wśród gałęzi mista, to znak, że wiosna blisko. Fot. CAF — TASS

Tygrysy, jak tygrysy. Nie mamy tyle odwagi, by podchodzić ich ryku nad ranioną lanią. Natomiast ścieranie się dwóch chmur burzowych, wiszenie ich naprzeciw siebie, a potem odpytywanie każda w swoją stronę (po wydarciu gromu z ich łona) — ziemnie nas zaciekawiła. Z naszego podziemia wyłoniona zostanie podkomijska, która badać będzie ustawicznie takie zjawiska.

MINUCYJE NOWE

O aspektach. Dzisiaj Jowisz.

Złazenie Jowisza
Dobry aspekt, jechać ze psy w pole.
Lecz z żoną mieszkać nie radzę przy szkole.

Czwartek Jowisza
Nie nęć w dom dworskich, ani szkolnych ludzi,
Bo się z takimiś radą żona cudzi.

Trzeciak Jowisza
Tego aspektu dobrze z głupim w karty.
Lecz i eudzą żoną nie uszyby farty.

HASŁO NA JAKIŚ CZAS
Na świętego Kazimierza czajka przybłęta,
ale nie przebrajamy miarki na żadnych imieninach.

Redaguje SERWACY POTULNY z podzwoniem.

Zbigniew Wawszczak

NIECODZIENNA MONOGRAFIA WSI KOŻUCHÓW

Z roku na rok zwiększa się liczba monografi historycznych, poświęconych miastom, miasteczkom i wsiom naszego regionu. Ostatnio ukazały się: monografia Rymanowa, wydana przez Oddział KAW w Rzeszowie oraz „Zarys dziejów Kożuchowa”, niewielkiej wsi, należącej do gminy Wiśniowa. Ta ostatnia, zasługuje na miano monografii raczej nietypowej i w pewnym sensie niezwykłej. Jakże walory „Zarysu dziejów Kożuchowa”, którego autorem jest zmarły przed trzema laty wybitny działacz ruchu regionalnego, Tadeusz Szeleń, uzasadniają użycie takich określeń? Autor wstępu do omawianej monografii prof. dr Józef Bursztą zwraca uwagę zarówno na wartości poznawcze, wykorzystanie źródeł, jak i na sposób, w jaki ta książka została napisana. Trudno się nie zgodzić z uczyonym, gdy utrzymuje, że zarówno opracowanie dziejów Kożuchowa, jak i wcześniej opublikowana monografia rodzinnego Dobrzechowa napisane zostały przez Szeleń „jasno, zwięźle, lapidarnie, z wydziwkiem społecznym, a równocześnie z literackim zacięciem, co znacznie umiła ich lekturę. Imponuje u Szeleń swoboda, z jaką sięga po cytaty z literatury pięknej, aby poprzeć swoje wywody. Tego rodzaju praktyka jakże wiele mówi o oszczędności i horyzontach intelektualnych chłopa z Dobrzechowa, który przez kilka dziesiątków lat prowadził swoje gospodarstwo, ale nigdy nie zamykał się jedynie w swoich opłotkach.

Nie powinna nas dziwić uwaga, jaką poświęca twórca monografii wszelkim przejawom zbiorowego działania chłopów kożuchowskich, np. akcji parcelacyjnej, która zlamiała wreszcie (na początku naszego wieku) obręcz feudalną, uniemożliwiającą grupów przetrzennych wsi oraz starania rolników swiatłych chłopów, nieustających w zabiegach o utworzenie we wsi szkoły. Tadeusz Szeleń udala się rzecz nielata: ukazał się jako organizm społeczny, jakkolwiek zróżnicowany pod względem materialnym, to jednak zintegrowany, z powodzeniem tworzący zmniejszające warunki życia.

Wystarczy przetrzeć kilka stron monografii Kożuchowa, by zobaczyć jak daleki jest jej autor od pozycji bezamiętnego, obojętnego obserwatora. Niemal każde zdanie w tej książce przesycone jest temperowaniem, co się odczuwa, sympatią, umiłowaniem wszystkiego co chłopskie. Autor jest

rolnikiem, chłopem, zna więc malopolską jak mało kto z własnego doświadczenia, żadne niuanse chłopskiego losu nie były dlań tajemnicą. Stąd owo dobitne pochycenie nad wsią, nad losami jej mieszkańców, losami przez stulecia dalekimi od sielanki. Ale Szeleń nie zapomina, że jest historykiem, że nie wolno mu w żadnym wypadku lekceważyć wymowy dokumentów, przekazów źródłowych. Ten historyk-amator, który z mozołem latami zgłębiał tajniki wiedzy historycznej, nie sprzeniewierzył się zasadzie naukowego obiektywizmu.

Trud włożony przez autora w opanowanie warsztatu historyka, imponuje cytowanemu już w niniejszych rozważaniach, prof. Bursztą „Zdumiewa wręcz — pisze Bursztą — jak Szeleń, człowiek pracy, mieszkaniec wsi, działacz społeczny — dał sobie radę z podstawowymi źródłami historycznymi. Przeszukiwał zasadnicze zbiory dokumentów średnio-wiecznych, zawarte w takich kompendiach jak „Kodeks dyplomatyczny Malopolski” czy „Liber Beneficiorum” Długosza, badał dokumenty w Archiwum Metropolitarium w Krakowie, w Archiwum Kurii Biskupiej w Przemyślu, a także w archiwach państwowych w Krakowie i w Rzeszowie. W ślad za tymi danymi poszukiwał najnowszych w powiatowych biurach hipotecznych i geodezyjno-kartograficznych i te dane potrafił — jak wytrawny historyk — krytycznie zestawiać, opracować i wykorzystywać. Korzystał przy tym, rzecz jasna, z pomocy fachowców, kierunek własnych poszukiwań miał jednak jasno skryształowany”.

Sądze, że wyjątkowo rzetelnie przytoczona historyczna analiza społeczności wiejskiej, klarowny tok wykładu, usytuowanie zdarzeń kożuchowskich na tle sąsiedzkim i ogólnokrajowym, docieklivość i wszechstronność w wykorzystaniu źródeł czyni z „Zarysu dziejów Kożuchowa” monografię godną polecenia innym, jako przykład godny naśladowania. Dobrze się więc stało, że wspólnym wysiłkiem Urzędu Gminy w Wiśniowie (dzięki któremu książka ujrzała światło dzienne) i Muzeum Okręgowego w Rzeszowie ukazała się ta ciekawa i pożyteczna książka. Wznowienie jej ma być i będzie. Z pewnością tysiącny nakład długo nie zagrzeje miejsca na półkach. Szkoda jednak, że Rzeszowskie Zakłady Graficzne, które starannie wdrokowały monografię, sama oprawy (książka ma twarde okładki) wykonały niestarannie.

o piszonielami przechodzi obok mnie” z wiersza „Niemiklonne”. Jakież jednak pomysłowe poetyckie można w tych wierszach znaleźć, („Motyl”, „Oddanie”) i dlatego warto próbować pisać, ale z większą wiedzą na temat współczesnej poezji.

P. B. — Hyżyna: Wiersz pt. „Lata 40-te — czas wojny” nie ma nic wspólnego z poezją. Jest to po prostu rymowany zbiór deklaracyjnych sloganów o drodze żołnierza polskiego do wolności. O tym, że on zedł przed siebie w ogień kaserny i dział, matki plakały, a my teraz możemy spać spokojnie. To było już tysiąc razy powiedziane i napisane tylko o wiele lepiej.

J. Cz. Leśniak: Twoje wiersze są przesycone młodzieńczą egzaltacją, chcą wyrażać silnych emocji, jakimś krzykiem rozpaczliwym z dna ludzkiej egzystencji. Ale to wszystko jest wymuszone i nieszczerze, bo cóż możesz wiedzieć z własnego doświadczenia o kondycji ludzkiej w świecie, mając 17 lat. Jest w tych wierszach pewna, sprawność pisania, ale także nieodłączna gadulstwo, po prostu pustej retoryki. Może kiedyś coś z tego będzie, gdy dowiesz się czegoś więcej o sobie i o życiu.

Tomek: Piszasz tak: „Widziałem twarz / lecz nie zobaczyłem człowieka / były posagi / i mumble / mumble / lub większe zło... Nie chciałem słuchać / kłania prawdami / nie poznałem / cienia „złowieszczyna”. Moja rada brzmi: proszę zacząć myśleć o twórczości poetyckiej, gdy zobaczysz człowieka i uwierzyysz w niego. Teraz daj sobie spokój.

WIDNOKRĄG ODPOWIADA

Łukasz B. — Przemysław: To bardzo nieładnie, że Pan chciał nas oszukać. Wszystkie 8 frazesek, które od Pana otrzymaliśmy, są przepisane dosłownie (tylko tyle zadal Pan sobie trudu, by zmienił tytuły) z tomu „Kpiny i lepki” Mariana Żabickiego. Sądzę Pan, że zmierzając to już można okładać, bo się o swoje nie upomną?

W. P. — Krośno: Niech się Pan nie bzdury — wiersze, które otrzymał Pan nie mają żadnych wartości. Są to bardzo nudne i bardzo prymitywne rymowanki pełne błędów gramatycznych i ortograficznych. Trudno zdecydować, który jest z nich najgorszy, ale chyba „Oda do niemialności”. Jeśli pisanie pomaga Panu zwalczyć lub ujawnić swoje kompleksy, to proszę dalej pisać, ale nikomu swoich utworów nie pokazywać, bo narazi się Pan na śmieśność.

K. K. Nowa Dęba: Próby wierszowania bardzo słabe. Wiersze rosgadane, pozabawione dyscypliny konstrukcyjnej, rozlewają się bez cienia organizującej myśli. Sporo w nich określeń banalnych, potocznych: „wiatr wieściły”, „sapach słodki”, „motyl ma „łęczowe okrycie”, „usta gorące”. Raza też nadmierna egzaltacja, uczuciowa skłonność do patosu, sentymentalizmu. Najgorsza to ta „Amierz kłękoczą-

Listy do przyjaciela

Ten list powinien mieć tytuł, Przyjacielu, który by brzmiał: Pogodna starość profesora Pieniążka.

To jest i piękne, i rzadkie, gdy człowiek wchodzi w tę starość z przeświadczeniem, że nie trzeba zmieniać w życiu, że zrobiło się to akurat, co było trzeba, można, i że są rezultaty, jakich się oczekiwało.

Profesor Pieniążek ma dobrą twarz, na tej twarzy jest napisane, że czego by nie dotknął w życiu, wszystko się uda. Ludziom jakoś łatwiej przychodzi uwierzyć w jabłko profesora Pieniążka niż w obroty ciała niebieskich profesora Kopernika, czy w promienie radu i polonu profesora Skłodowskiej, czy nawet w ideał szczęścia profesora Tatarkiewicza.

Raz napisalam co prawda do Ciebie z żalem, że profesor Pieniążek zniszczył moją pamięć dziecięcą o wielkim, czerwonym jabłku, odebrał mi smak i zapach; rodziło się tamto jednak co drugi rok na arcypospólnym jabłonie, sięgającej czubkiem nieba, więc on wolał posiadać na jego miejscu jakiś karłowaty krzaczek,

podparty palikiem, albo rozpięty na sznurkach, by obdawany owocem rozdzieli co roku, byśmy jedli stare jabłko równo-legle z młodym.

Więc trzeba mi darować, że wypięł złote koszele, czerwone malinówki, zielone papierówki — że mamy teraz z cudziemiśkami brzmienie jonatany, koksy, melintozę, które przynędziły tu z amerykańskich ferm i amerykańskiego uniwersytetu.

Trochę przykro profesorowi Pieniążkowi, gdy czyta, co napisał Iwaszkiewicz, że „nie ma polski pejzaz, wytrzebiony jabłonie strzeliste, konarzyste, sady przepastne zastępujące kosodrzewinę nad ciemną otoczoną. Jego jabłko z brzydkiemi owocami na ciemniutkiej gałęzi — zawojowały sadowników, bo dały bogactwo. Dumny z tego, że wyhodował bogactwo, przecie z nutą żalu zgadza się, że w rzeczywistości „zgnęł” polski pejzaz. Bo nie może być biednie i pięknie; musi być bogato i nowoczesnie. I co tam moje pretensje o jabłko, które ongiś spływało sokiem,

gdym w nie sobiła zęby, co tam dumki Iwaszkiewiczowskie nad rozochatą jabłonią, gdy z drzewo — karzełko profesora Pieniążka leci deszcz pieniędzy, których zarobozęca sadownicy całej Europy i Ameryki.

Profesor Pieniążek ma dobrą twarz, gdy mówi o pracy ludzkiej: o długich urlopach naukowców, o działaniach, które niszczą w zarodku niewolara a priori założona w jego sens, o beztrzęsio towarzyszącej marnotrawieniu czasu, o płacie pijaństwu.

To co mówił, to nie jest nachalna propaganda, bo nie mówi tego nierób — gadać, co tam sam partacząc swoją robotę sprzedaje na publiczny użytek banaly o postawianiu pracy, albo nierób — gadać, któremu leje się z otworu gębowego młód oczyszczenia, podparty witaćkowską idejka, ale mówi człowiek, który w równym rytmie od najmłodszych swoich lat idzie do przodu po polskiej ziemi, wydzierając jej z brzucha plodność i składając temu bruchowi hold w postaci badań naukowych, które uwalniają rodzenie.

Przeto sto lat mówię, Przyjacielu profesorowi Pieniążkowi; oby tacy ludzie rodzili się na kamieniu! Bo to nim Polska stoi i z nich ma swoją polską potęgę do dumy.

KRYSTYNA